

Adam Czarnowski

Refleksje z mazowieckich wędrówek

Rozległe pola z rzędami wierzb, kręta rzeka obrzeżona krzewami tarniny, połącz lasu i piaszczysta droga wijąca się wśród sosnowych zagajników; za nimi chaty pod strzechą...

Takie krajobrazy, oglądane przez długie lata składają się na moją, z dawna utrwaloną wizję mazowieckiej Ojcowizny. Czy istnieją jeszcze, po latach, w XXI w.?

Pytanie wydaje się retoryczne. Wędrując po drogach Mazowsza wciąż widzę, że na polach i terenach leśnych powstają parcele budowlane i tzw. działki, a na nich wyrastają domy i domki mieszkalne oraz wszelkie przemysłowe i handlowe obiekty z bogatą infrastrukturą. Trwa gwałtowna urbanizacja. Cierpliwość i dociekliwość wędrowca-krajoznawcy sprawia jednak, że odnajduję zaskakujące swoim obrazem zakątki, gdzie dziwnym zrządzeniem losu zachowała się dziewicza niemal natura. Wejścia do takiego świata przynosi fenomen doznań, uwalnia od dręczącej codzienności, daje wewnętrzny spokój; wyzwala też, zwykle ukryte, atrybuty własnej osobowości i powoduje refleksje.

Gdzieś nad Świdrem

Idę piaszczystą drogą. Przedemną wznosi się pasmo wydm. To mazowieckie „góry”, które są urozmaiceniem równinnych krajobrazów. Rodzi się chęć poszukiwania najwyższych położonych miejsc, skąd z boku wystrzelają stożkowe krzewy jałowców obsypane sinymi kulkami owocników. Przywodzi to mimowolnie smak pieczeni „na dziko” w zawieszonym sosie... Ale już zwraca uwagę pokrzywiona i rozkraczona korzeniami sosna, chciwie czepiająca się piaszczystego, wydmuchiwanego przez wiatr podłoża. Dalej zaczyna się sosnowy bór z drobnymi pniami masztowych sosen. Spoglądam w górę na rozłożyste korony i konary z gęstwiną igieł, a w prześwitach widzę błękitne niebo, po którym spokojnie płyną wielokształtne obłoki. Chwilami kołyszą się gałęzie i słychać poszum wiatru, który niesie wspaniałe, suche powietrze nasycone żywicznym aromatem.

Ścieżka zbiega w dół, przecina drogę. Za nią odkrywam piękny, zda się bajkowy, krajobraz: przełom rzeki. To Świder meandruje między wydrami, które porasta młody las. Wspinam się na wzgórze i nagle kończą się drzewa. Otwiera się widok na leniwie płynącą w dole rzekę; przy niej droga prowadząca do kolonii stłoczonych domostw. Koniec wolnej natury! Gdy podchodzę bliżej, słyszę głośnie dudnienie. Wśród drzew kryje się przysadzista, drewniana budowla z wielkim, kołem; stary młyn. Bystra struga spada na łopatki, obraca koło, pluszcze, gada. Cały obiekt skrzypi i zda się poruszać, jest niespodziewanym zjawiskiem dominującym w krajobrazie.

Wzdłuż Narwi

Pamiętam ten widok sprzed pół wieku: nadbrzeżne łąki i ciągnąca się wzdłuż nich uskokiem wysoczyzna pocięta wąwozami. W zboczach wyżłobione bruzdy, poniżej osypiska. Koło Serocka, z kilkudziesięciometrowej krawędzi, można było obserwować typowy, mazowiecki, zbliżony do naturalnego, krajobraz pradoliny



Narew koło Serocka przed zbudowaniem Zalewu Zegrzyńskiego. Fot. A. Czarnowski

Wisły. Na wschód, wśród łągów, toczył leniwie swoje wody uchodzący do Narwi Bug z licznymi odnogami strug. Rosły liczne wierzby i bogato rozgałęzione topole nadwiślańskie, a topole włoskie stanowiły akcenty wysokościowe. Dziś są to okolice Jeziora Zegrzyńskiego, zwanego z pewną przesadą Mazowieckim Morzem. Powstało ono przed bez mała 40 laty, gdy Narew wraz z Bugiem spętrzone zaporą tworząc zbiornik o powierzchni 33 km kwadratowych.

Jakże zmieniło się naturalne środowisko! Woda zatopiła dawne, nadbrzeżne połacie łąk, a w ujściach rzek podniósł się jej poziom. Od południa zbiornik otoczono wałami na przestrzeni 40 km. Tam, gdzie nie ma wałów brzegi są rozmywane. Wokół „wielkiej wody” powstał obszar rekreacyjny. Jak grzyby po deszczu, wyrosły setki szpetnych budek i pudełkowatych ośrodków wypoczynkowych, szkoleniowych, hoteli, powstały przystanie dla sprzętu wodnego, urządzenia sportowe, sklepy, parkingi.

Wszystko powiązано siecią dróg i ścieżek. Szczególnie dużo budynków znajduje się na wschodnim brzegu zalewu, w Ryni, i dalej na południe, w Białobrzegach, gdzie na zapleczu rozciągają się Lasy Nieporęckie. Wiele ekskluzywnych obiektów powstało na zachodnim brzegu w Zegrzu Północnym i w Jachrance.

W dni pogodne, zwłaszcza podczas weekendu, roi się na tych terenach od aut, kłębi tłum ludzi ze wszystkimi, właściwymi dla takiego zbiorowiska, negatywnymi cechami. Skażone jest otoczenie, powietrze, woda, która i tak bywa często złej jakości, co powoduje okresowe zakazy kąpieli.

Nie wszystko jednak zostało stracone. Gdy sfrustrowany wędruję z Serocka na południe, za Zegrzynkiem odnajduję oazę starodrzewu z malowniczym rezerwatem „Wąwóz Szaniawskiego”. Potem mijam pospiesznie zabudowę Zegrza i idę wzdłuż zachodniego odcinka Narwi, jej południowym brzegiem. Ze zdumienia przecieram oczy. Wśród bujnych łąk kwitną storczyki, przechadzają się bociany; utworzono tu rezerwat „Wieliszewskie Ługi”. Dalej błyskają w słońcu oczka wodne, a tu i ówdzie urozmaicają krajobraz kępy drzew i krzewów, z których podrywa się ptactwo.

Wkrótce następuje kres tej urokliwej enklawy natury. Oto zaporą w Dębem i zabudowania osiedla. Powracam do Serocka. W pobliskiej Wierzbnicy przeprawiam się mostem przez Narew, aby uparcie penetrować jej okolice. W krytycznym nastroju idę prawym, rozdeptanym brzegiem rzeki, wzdłuż której ciągnie się piaszczysta droga i luźna zabudowa. Nagle olśnienie! Na wodzie pojawiają się łabędzie, dalej szuwały z tatarakiem i palkami wodnymi, wśród których buszują ptaki. Za nimi spokojna toń, a na niej kołysze się leniwie tradycyjna łódź pychowa. Czas jakby się zatrzymał... Jeszcze kilkanaście kroków i ta, baśniowa niemal, oaza natury znika jak sen. Nad brzegiem rozciąga się połać piasku, na której plażuje hałaśliwy tłumek ludzi, dalej przystań pełna łodzi, a obok, otoczone ogrodzeniem, zabudowania luksusowego ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego w Gąsiorowie.

Gdzieś nad Utratą

W słoneczny, wiosenny dzień szedłem połą drogą. Przydrożny rów wypełniały gęste rabaty różnobarwnych kwiatów. Pęki błękitnych niezapominajek mieszały się z żółtymi kaczęciami. Obok, na podmokłej łące, rosły stokrotki. Ze strug wodnych gramoliły się na drogę zielone i brunatne żaby. Za polami ciągnęły się rzędy przysadzistych wierzb ze sterczącą czupryną gałązek okrytych jasnym, młodym listowiem. Typowa, rozległa mazowiecka równina, na której gubi się horyzont, a oko zatrzymuje się tylko, od czasu do czasu, na domach, starych i nowych, nijakich.

Natrafilem na rzekę. Od mętnej wody biła cuchnąca woń. Kręte koryto prowadziło do gęstej, parkowej zieleni. Z oddali niosły się dźwięki fortepianu.

To Żelazowa Wola. Miejsce urodzenia Fryderyka Chopina. W dworku-muzeum odbywał się koncert utworów genialnego kompozytora, który czerpał natchnienie z pobliskich, mazowieckich okolic. Liczne ławki przy dworku obsiedli tłumnie ludzie słuchając gry pianisty. Później ruszyli ścieżkami do parku i zatykali nosy...

Działo się to przed kilkunastu laty, gdy rozrastający się, wszechwładny przemysł beztrudnie zatruwał rzeki i strumienie. Wreszcie jednak działania ludzkie doprowadziły do pozytywnej odmiany. Dziś Żelazowa Wola jest w pełni godna miana świątyni polskiej kultury; można tam podziwiać piękno parku, z płynącą wśród drzew i krzewów Utratą oraz słuchać szopenowskiej muzyki.

Koło Łowicza

Z daleka, wśród rozległych pól, widać wysoką wieżę kościoła. Drogą zdążają kobiety w pasiastych, barwnych, spódnicach i chustach na głowie. Obok przemykają rowery i hałaśliwe motocykle nierzadko prowadzone przez strojne Łowiczanki. Mijam parę starych chałup pod strzechami i gospodarstw zbudowanych w czworobok. To Żłaków Kościelny. Wieś położona na uboczu, w której stare tradycje wiążą się z nowoczesnością.

Jest niedziela. Obok starych chat, w pobliżu kościoła, zrobiono parking. Stoją samochody i liczne motocykle. Nagle, zza węgła ukazuje się niezwykła postać: sędziwy, wąsaty dziadek w długiej, białej sukmanie, pasiastych portkach i butach z cholewami. Kroczy wolno i dostojnie podpierając się sękatym kijem. Zaskakujące spotkanie dwóch światów: współczesnej techniki i dawnego folkloru.

Łowicka wieś wciąż pielęgnuje tradycje rodzimych mieszkańców, zwanych Księżakami, stare pokolenia przekazują je młodym. Wypatrzyłem niebieską, krytą strzechą chatę. W środku wiekowe już sprzęty, podłoga wysypana piaskiem w misterne wzory, u pułapu „pająk”. Ściany ozdobione licznymi, kolorowymi wycinankami. Wykonała je matka gospodyni wielkimi nożycami do strzyżenia owiec; obecnie wycina córka i wnuczka.

Później, w Łowiczu zwiedziłem skansen dawnego budownictwa wiejskiego: chaty, obórki, stodoły, figuralne ule. W święto Bożego Ciała zaś oglądałem procesję w barwnych, regionalnych strojach. To poniekąd żywy, ale praktycznie już muzealny świat, który wciąż podziwiają liczni polscy i zagraniczni turyści.

Nad Liwcem

Na północ od Urli, popularnego miejsca wypoczynku nad Liwcem, leży niewielka osada Puste Łąki. Typowy to zaścianek na skrzyżowaniu szos. I niewątpliwie pozostałby nieznany, gdyby nie ta wielka, 70-kilometrowa odległość z Warszawy, co od dawna sprzyja pobytowi letników w domkach wśród łąk. Dziś



Złaków Kościelny (łowickie), relikw XIX w. Fot. A. Czarnowski

przejęły ich funkcje popularne dacje na sprzedanych przez rolników działkach; pełno ich w całej okolicy na Liwcem. Wokół osady, która coraz bardziej się wyludnia, zostały się pola, nie koszonych porośniętych chwastami łąk – *nomen omen* – Puste Łąki.

Tymczasem natura upomniała się o swoje prawa. Nie zagospodarowany teren wzdłuż Liwca zaczął się odmieniać. Liczne powodzie zniszczyły dawne koryto rzeki. Gdy przed trzydziestu jeszcze laty jej bieg był całkowicie widoczny i można było odnaleźć nadbrzeżne, piaszczyste pola i murawy, dziś z trudem trzeba się przebić przez pełne pałupki zarośla. Nadrzeczny teren objął też w posiadanie dorodny las łęgowy z grabami, dębami, wiązami, lipami, brzoźami... Gęstwina pełna komarów i „wszelkiej gadziny” ogarnęła stare i nowe, stłoczone koło siebie, letniskowe domy. Groźne napisy na furtkach: „Teren prywatny”, „Złe psy” itp., skłaniają do poszukiwania innej, wolnej drogi. Kieruję się ku rzece. Wśród zarośli dostrzegam oczka wodne pokryte gęstą, seledynową rzęsą. Są to starorzecza, resztki kapryśnego koryta Liwca. Królują tam zaskrońce, ropuchy, a nawet żółwie, unoszą się roje komarów i opalizujących ważek. Nagle odzywa się donośny głos; chyba pokrzykiwanie czapli. Bo ma tu także swoje siedlisko liczne ptactwo, również przelotne. Są więc mewy i rybitwy, kuliki, perkozy, derkacze oraz kilka gatunków dzięciołów. Wiosną odbywają się koncerty słowików.

Minąwszy całe pola wybujałych pokrzyw, barszczu i wielkich łopuszyn trafiam nad Liwiec. Rzeka płynie w obniżeniu. Gdzieś tam widzę skrawki piasku i trawiaste półki. Przebiec jednak wzdłuż koryta nie sposób. Aby iść z biegiem wody, trzeba cofnąć się do drogi, która przez Halin i Loretto prowadzi wśród lasu ku Kamieńcykowi. Las to jednak zbyt wielkie słowo! Ten „prawdziwy”, który znałem przed laty, dawno już wycięto. Teraz, przy piaszczystych łysinach i wydmach pokrytych wrzosami i bogactwem roślin zielnych, rosną młodziaki sosnowe i trochę starszej drągownicy. Czasem trafi się potężny dąb – dumny symbol wspaniałej niegdyś Puszczy Kamienieckiej, która musiała ustąpić na wschód i północ.

Gdy w pełnym słońcu przemierzam halizny, nagle krajobraz ożywa: droga łamie się i faluje w rozgrzanym upałem powietrzu. Wokół rozchodzą się zapachy sosnowej żywicy, dziurawca, mięty, macierzanki... Wszystko to daje złudzenia, przywołuje egzotyczne przeżycia oraz wizje dalekiej Bułgarii, Macedonii...

W cieniu wiązu

Było pełne lato, gdy na krańcach Mazowsza, za Mazowszem, znalazłem krajobraz bajecznie kolorowy. Wzdłuż drogi wiodącej do pobliskiego Osuchowa ciągnęła się aleja brzoź. Na tle białego szpaleru ich pni czerwieniło się poletko maków przetykanych błękitnymi bławatkami. Za nimi otwierał się widok na bielejące w dali klasycystyczne dworzyszczce i rozległy park z bogactwem starodrzewu. Wśród dostojnych pomników przyrody rosły grubaśne dęby szypułkowe, pachniały rozłożyste lipy, szumiały jesiony. Był też rzadki platan klonolistny. Ale pośród wszystkich tych drzew królował bezspornie olbrzymi wiąz, którego nie zdołały objąć nawet cztery osoby. Brunatny pień tego wiązu przypominał poorane

brzdami oblicze starca ujęte z profilu. Pod nim ciemniała obszerna dziupla, niby gęba. Rozłożyste i fantazyjnie ukształtowane konary, pokryte bogactwem listowia, rzucały obszerny cień, który w upalne dni stawał się oazą wytchnienia.

Spod wiązu wzrok biegł ku rozległym, zielonym łąkom i falującym się, złotym łanom zbóż albo w drugą stronę, gdzie pod białymi murami dworu wabił kwietny, typowo polski, ogródek. Zaglądałem tam zawsze nad wieczorem, gdy minął już skwar dnia, a zachodzące słońce nadawało kwiatom łagodnego kolorytu. Dołem barwiły się kielichy nasturcji – od jasnożółtych przez pomarańczowe do cynobrowych, dalej pięły się ku górze niebieskie ostróżki, a za nimi cały wybór wyniosłych malw we wszelkich odmianach bieli, kremu, czerwieni i amarantu. Nad wszystkim rozchodził się słodki zapach floksów, a gdy nadeszła noc – maciejki.

Taki to Osuchów zapadł mi głęboko w pamięci.

Koło Chojnowa

W pobliżu szosy rosną brzozy przeplatane wierzbami. Boczna ścieżka prowadzi w głąb lasu, gdzie podziwiam wspaniałe drzewostan sosny, graby, świerki, modrzewie. Dołem krzewi się bogate podszycie; widzę dorodne leszczyny, jarzębiny, kaliny i bujne runo leśne. Wśród tej roślinności trafiają się potężne dęby, co przetrwały wieki. Są to symbole mocy i potęgi, pozostałe, być może, ze świętych, słowiańskich gajów, świadkowie przeszłości piastowskiej Mazowsza.

Podchodzę na wysoką wydmę porośniętą sosnami. Bije od nich mocny, żywiczny zapach. Siadam w smudze cienia rzuconego przez drzewo, aby chwilę odpocząć. Obok rosną krzewinki czarnych jagód. Smakują wybornie! Gdzieś z góry dolatuje stukot. Po chwili, wysoko na pniu, dostrzegam dzięcioła z czapczką czerwonych piórek; pracowicie kuje w pień poszukując pokarmu. Nagle czuję na nodze delikatne swędzenie; wędrują po mnie małe mrówki, których pełno wokół. Czas iść dalej, zwłaszcza, że tymczasem cień sosny powędrował obok i znalazłem się w pełnym słońcu. Gdy schodzę w dół wyczuwam zapach wilgoci. Tak, to droge zagradzają gęste olchy, a wśród nich widać zabagnione oczka wodne.

Z daleka słychać jakieś głuche dudnienie. To samochody na szosie przecinającej rozległe Lasy Chojnowskie. Po chwili rozlega się donośna syrena pociągu kursującego przez pobliskie Zalesie Górne. Sąsiedztwo Warszawy i duży ośrodek rekreacyjny z atrakcyjnym kąpieliskiem sprowadzają tu wciąż tłumy ludzi. Buszują oni po lesie, poszukują grzybów i jagód, bezlitośnie depczą runo i młode drzewka, znaczą swoją obecność wszelkim śmieciem; gardzą znakowanymi szlakami turystycznymi w imię źle pojętej swobody.

W roku 1993 utworzono na tym obszarze Chojnowski Park Krajobrazowy o powierzchni 6796 ha, w którym znajdują się dwa duże rezerваты.

Wędruję krętymi ścieżkami przez serce starego, puszczańskiego niemal lasu. Mijam rezerwat „Uroczysko Stephana” i dalej trafiaam na asfaltową drogę. Za nią trzyma straż gład narzutowy. Obojętny przechodzień minie zapewne taki gład nie zwracając nań uwagi. Ale zamilowany łazik odczyta w kamieniu niemało, dostrzeże



Na skraju lasów Chojnowskich. Fot. A. Czarnowski

barwne ziarna skandynawskiego granitu i bruzdy, które znaczą setki tysięcy lat wędrówek lądolodu z dalekiej północy. A czasem trafi się napis upamiętniający jakieś zdarzenie, osobę... I właśnie odczytuje: „Tu czuwa duch mój. Wiktor Stephan”. To dobry duch leśniczego, który przed laty zasłużył się dla zachowania chojnowskich lasów wraz z ich wyjątkowymi urokami.

* * *

Szczęśliwe zakątki u progu wielkiej aglomeracji warszawskiej, gdzie panuje unikalny duch miejsca – *genius loci*, źródło przynoszące ukojenie tym, którzy potrafią je odnaleźć.